Powrót ojca z niewoli



Józef Wit Fabijański, jeniec stalagu IV G w Oschatz, nr 13694, fot. arch. autorki

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Znowu urwał się kontakt z naszym ojcem, podobnie, jak to było na początku wojny. Codziennie wieczorem klękamy w jadalnym i modlimy się. Mama głośno odmawia litanię Loretańską do Matki Boskiej w intencji ojca by żył, by do nas wrócił. Wszystkie niedziele i święta chodziliśmy na mszę św. do kościoła św. Mikołaja, parafialnego i przyjmowaliśmy komunię św. w intencji powrotu naszego taty. Coraz częściej dręczyły mnie sny. Wyraźnie widziałam powracającego ojca, który mnie tulił mocno, czułam jego obecność i… budziłam się w środku nocy z rozpaczliwym płaczem.

Było nam coraz trudniej ze wszystkim. Był rok 1943. Niemcy zachowywali się nerwowo. Z Warszawy napływały same złe wieści. Aresztowany został mamy wuj Aleksander Andrzejkowicz. Mówiono o wywożeniu inteligencji polskiej do Oświęcimia. Jeszcze nikt nie wiedział u nas co to jest Auschwitz. Na głównych ulicach Hrubieszowa Niemcy zgarniali przypadkowych ludzi z łapanek, pakowali siłą do ciężarówek i wywozili na roboty do Rzeszy. Była to praca przymusowa, bardzo ciężka i pod nahajami. Dla młodych organizowali obozy pracy tzw. „junaki”. Co jakiś czas odbywał się komisyjny pobór i tylko choroba mogła uratować. Mama drżała zarówno o Elę, jak i o Witka. Ela wprawdzie pracowała legalnie w Polskim Czerwonym Krzyżu, ale każde wyjście na ulicę groziło łapanką, a te odbywały się znienacka i w godzinach, gdy ludzie wychodzili z pracy. W małym i słabo zabudowanym Hrubieszowie praktycznie nie było moż-

liwości ucieczki toteż każdy szczęśliwie przeżyty dzień był dla nas cudem.

W zimie 1944 r. nasiliły się partyzanckie walki polsko-ukraińskie. Niemcy celowo podjudzali, aby odwrócić uwagę od siebie, bo już nie byli zwycięzcami. Złość, desperacja rodziła nienawiść tak wielką, że wzajemnie Polacy i Ukraińcy – wczoraj sąsiedzi i pobratymcy – teraz najwięksi wrogowie wyniszczali się do cna. Bestialskie mordy, tylko za przynależność narodową czy religijną, wyrzynanie się wzajemne, palenie całych wsi, osiągnęły szczyt w marcu. Nie było dnia bez łun od południa i wschodu, które rozświetlały niebo złowrogo i budziły lęk łącznie z pytaniem: kiedy nas podpalą? – Wiosna 1944 r. między Huczwą a Bugiem przyniosła spaloną ziemię, ruiny domów, zwęglone sady, zrujnowane gospodarstwa, zabite bydło. Wypędziła resztki oszalałych bezdomnych ludzi. Do dzisiaj ślady tego horroru są widoczne. 1 tylko zadumać się wypada nad pięknymi opisami pió-ra znanego profesora, z pochodzenia hrubieszowianina – Wiktora Zina:

> Była taka wieś nad Bugiem, piękna jak kolorowy, dobry sen. Były tam rozstawione w rytmie i porządku chałupy kryte strzechami. (…) Przed każdą zagrodą stała kapliczka pośród liliowych bzów lub biało kwitnącej kaliny. Każde podwórze nakrywał parasol dorodnego drzewa, lipu lub jesionu (…).

> Żyli tam ludzie w trudzie, ale i w dostojeństwie, które daje modlitwa i praca. (…) Bratobójcze walki sprawiły, że z tego miejsca pamiętającego odwieczny rytm życia wielu pokoleń, pozostały ledwie kikuty kominów, zarośnięte ścieżki i kępy niedopalonych krzewów. Wyrąbano nawet krzyże, wdeptano w ziemię kapliczki. (Wiktor Zin, Opowieści o polskich kapliczkach, Ossolineum 1995).

***

Koniec listopada 1944 r. i „andrzejkowe" wróżby. Lejemy wosk do miednicy z zimną wodą. Wszyscy przejęci, skupieni. Kolejno każdy wylewa swój los. Na białej ścianie odczytujemy z cienia co wyszło. Nie jest to proste. Figurą woskową trzeba kręcić we wszystkie strony i najczęściej nic nie wychodzi. Namówiliśmy mamę, żeby spróbowała. Teraz z powagą, w ciszy przyglądamy się bezkształtnej masie. Obracamy w palcach ostrożnie, żeby nie połamać miękkiego wosku i… oto wychodzi nam sylwetka mężczyzny nieco przygarbionego, z plecakiem na plecach, w wysokich butach i w czapeczce z małym daszkiem. Wyrazista i nad podziw czytelna. Nie do wiary! – Mama śmieje się i mówi: „któż to???" – Zapanowała głęboka cisza, ale po chwili byliśmy rozbawieni wszyscy. Sypały się dowcipy moich braci, zwłaszcza uszczypliwe na temat mojej przyszłości matrymonialnej. Miał to być fircyk – korniszon. Nigdy tego zestawienia słów nie

zrozumiałam. A czy to się spełniło – opowiem później.

***

Mimo terroru i niebezpieczeństwa w Hrubieszowie powstały tajne komplety nauczania średniego. Dużo młodzieży uczyło się, a nauczycielami byli przedwojenni profesorowie gimnazjalni. Już w 1943 roku zaczęła działać Armia Krajowa. Witek ubrał się w ojcowski, peowiacki mundur polowy: spraną bluzę, sznurowane spodnie, włożył furażerkę i poszedł do lasu.

Przysięga żołnierzy – akowców odbyła się 25 września 1943 r. w Hrubieszowie, oczywiście w konspiracji. Przyjmował Kazimierz Stachowiak pseudonim „Ludwik". Dowódcą zgrupowania AK Obwodu Hrubieszowskiego był wówczas Marian Gołębiewski, pseudonim "Korab". Te wiadomości otrzymałam od brata już w latach 90. XX w.

Któregoś dnia Witek przyszedł w biały dzień do domu, od strony lasu Bohorodycy i łąk, z bagnetem za pasem, jak gdyby nigdy nic. Przyszedł pokazać się, że żyje i pewnie zjeść, chociaż nie bardzo było co. Jedliśmy wtedy na okrągło zacierkę, jeśli była mąka od Wacka Banaszkiewicza z Wiszniowa, placki na sodzie, latem kukurydzę i bób. Czasem kupowaliśmy od sąsiadów jabłka, wtedy była szarlotkowa uczta, ale te szarlotki były bez tłuszczu i bez cukru, z szarej, zanieczyszczonej mąki. Piło się herbatę z

suszonych skórek z tychże jabłek, których charakterystyczny zapach unosił się zawsze w mieszkaniu. Lubiłam go i do dzisiaj miło się kojarzy.

Bez Witka czuliśmy się mniej bezpieczni. On nam zapewniał byt, zastępował w jakimś sensie Ojca, był naszym opiekunem. Zawsze coś zdobył: mleko, mąkę, z której sam upiekł chleb u sąsiadów w dużym piecu chlebowym i podpłomyki niezapomniane, bo były to placuszki płaskie, z ciasta chlebowego, które piekło się przy jeszcze żarzących węgielkach drzewnych, zanim chleb poszedł do pieca, dla wypróbowania czy odpowiednia jest jego temperatura. Były więc zawsze podpieczone i to był ich urok, niepowtarzalny zapach i jedyny smak. Łamało się ich okrągławy kształt i jadło ciepłe, kruche z masłem, o ile ono było. Wtedy smakowały najlepiej. Witek miał w 1944 roku osiemnaście lat, jak w tej piosence partyzanckiej o sercu w plecaku, był chyba najmłodszym partyzantem w swoim oddziale. Bardzo martwiliśmy się o niego.

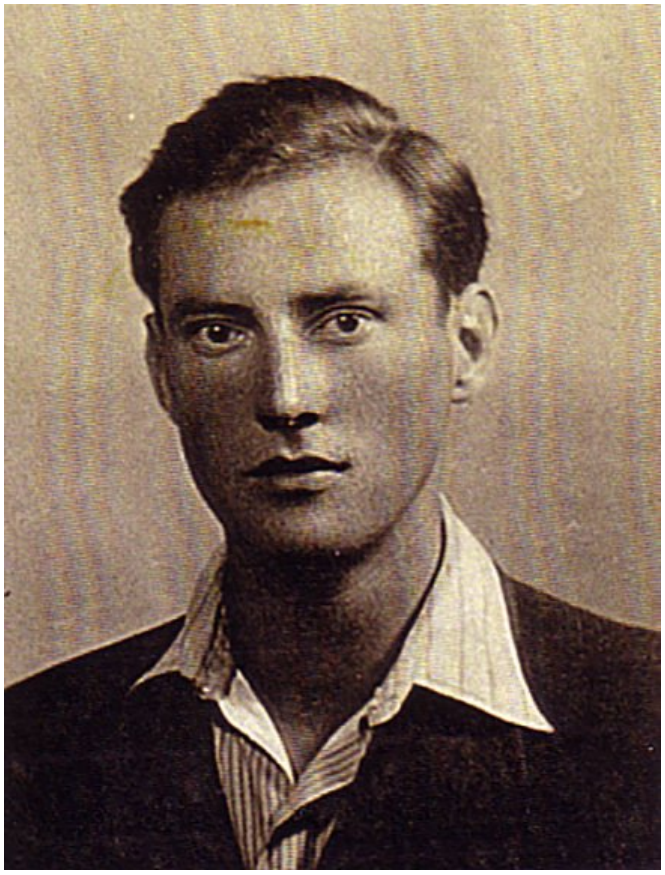

Mój najstarszy brat Wiktor Fabijański, ur. 31.01.1926 r. w Zamościu, od 1943 r. w Armii Krajowej, pseudonimy „Kaśka” i „Jeremi”, łącznik w Hrubieszowie, fot. arch. autorki

Tymczasem zbliżał się do nas front. Słychać było głuche pomruki dział sowieckich, ziemia jęczała. Robiło się coraz straszniej. Niemieccy żołnierze kopali rowy w podwórzach. Miały zdaje się służyć na działa przeciwlotnicze. Tymczasem posłużyły nam jako schronienie przed odłamkami w czasie bombardowań w lipcu 1944 roku.

Byliśmy już z Julkiem po szkole, lato było upalne, błękitne niebo, jaskrawe słońce i susza. Nie wiem, czy to Niemcy na odchodnem, czy Sowieci nacierając bombardowali tory kolejowe co parę metrów. Samoloty nadlatywały seriami, po kilka. Najpierw

słyszało się głuche buczenie coraz to nasilające się, później przeciągły, rozdzierający uszy huk, wycie, nagle zniżały się tuż nad nami i za chwilę serią bomb częstowały polską ziemię. Świst, wybuch, jęk ziemi, fontanny kamieni, odłamków, brzęk szkła i… cisza. Do dzisiaj na warkot samolotu reaguję gęsią skórką.

Bomby spadały przeważnie na wygon robiąc tam ogromne leje. Odłamki rozpryskiwały się w promieniu kilkuset metrów. Ranna została pani Janka Malinowska, strasznie śmieszna stara panna, Eli koleżanka z PCK. Przybiegła do nas między nalotami z głową zabandażowaną białymi szmatami i właśnie zaczął się kolejny nalot. Skoczyłyśmy we trzy do rowu: Ela w jednym kąciku, ja przytulona z psem Sońką, jamniczką zostawioną nam przez uciekinierów ze wschodu, w drugim kątku, a panna Janka na środku z tą białą głową. Kazałyśmy jej przykryć głowę stołkiem, po którym wskakiwałyśmy. Posłuchała. A Mama z Babcią siedziały cały czas w malinach i nigdzie nie chciały się ruszać, o żadnych dołkach nie myślały. Julek siedział na jabłonce i obserwował ostrzał z samolotów i chyba walkę powietrzną, bo ciągle wrzeszczał z zachwytem – ale dostał! Okna były wszystkie pootwierane, żeby szyby nie wyleciały, ale u sąsiadów i w oficynie nikt o to nie zadbał i słychać było brzęk tłukącego się szkła. Pamiętam, że te naloty trwały cały dzień. Nie wiem czy jeden, czy więcej. Na pewno jedną noc spaliśmy w lochu na kartoflach, które Wojtysiakowie mieli w podwórzu. Loch okazał się na tyle duży, że zmieściliśmy się: Babcia, Mama, Ela, Julek i

ja. Sąsiadów gdzieś wyniosło. Nie było żywego ducha. Nad ranem zaległa martwa cisza. A gdy słońce już było na niebie posłyszeliśmy ruską mowę: ”kuda, chody siuda”, „sało u was zdes?”, „wodka, wodka”! – wylegliśmy z lochu. Widok był swojski. Ruscy sołdaci, przyjaźni ludziom miejscowym poszukiwali chleba, słoniny, wódki. Byli brudni, głodni i śmierdzieli dziegciem (dobrze znany nam zapach, gdy mieliśmy świerzb). Myli się pod studnią mydłem, które miało dziwne niebieskie kropki. Myśmy mydła nie widzieli już od dłuższego czasu, zapasów nie było, więc podarowany kawałek, kosteczkę prostokątną przyjęliśmy z wdzięcznością.

Pokazali się ludzie, wylegli z ukryć, poprzynosili żołnierzom wszystko, co mieli. Znalazł się chleb i słonina. Nasza wdzięczność dla nich wtedy nie miała ceny. Byli to wyswobodziciele od tych znienawidzonych, butnych, okrutnych Niemczurów. Sowieccy żołnierze mieli nici białe i czarne, dobre, mocne, do przyszywania kołnierzyków i guzików. Dawali nam swoje zapasy, które przydały się później. Jeszcze długo po wojnie tekturowe gwiazdki z resztkami tych nici przechowywała Ela w swoim igielniku wraz z ruskim naparstkiem. Takie były prezenty powitalne od wyzwolicieli. Trzeba to powiedzieć, gwoli prawdy, że od razu zrobiło się radośniej i już nie było tego paraliżującego lęku o życie.

Dowództwo AK uznało, że czas wyjść z lasu. Rzucone hasło „na

Warszawę” miało być zrealizowane. Ogłoszono dzień powitania Akowców w mieście Hrubieszowie. Tłumy wyległy na ulice. Kto żyw niósł kwiaty, by rzucić je do stóp naszym bohaterom.

– Ależ, co to? – w każdym załomie, podwórzu, w bocznych uliczkach ruskie, zamaskowane gałązkami zieleni czołgi. Lufy skierowane na główną ulicę. Ludzie szeptali: „ale zagrzmią na wiwat, a potem na pewno pojadą za naszymi na Warszawę”. Domysły te okazały się płonne. Dziarscy nasi, chłopcy w zwartych szeregach wyszli z lasu i maszerowali radośni, odważni, szczęśliwi, że będą mogli otwarcie walczyć z wrogiem, być współwyzwolicielami własnej Ojczyzny.

I wtedy stało się coś strasznego. Czołgi wyjechały na nich. Nie uwierzyli własnym oczom i szli dalej, na przód. Jeden zginął. Wtedy z okrzykiem „zdrada”! rzucili się do ucieczki, gdzie kto mógł. To widzieli zgromadzeni wzdłuż ulic mieszkańcy.

Relacja Wiktora Fabijańskiego pseudonim „Kaśka”, później „Jeremi”:

> Maszerowaliśmy do Hrubieszowa zgodnie z uzgodnieniami między dowództwami AK i wojsk sowieckich. Obiecano nam umundurowanie, dozbrojenie i przewiezienie do obrzeży Warszawy. Mieliśmy zakwatero-. wać się chwilowo w

> koszarach w Hrubieszowie. Nasze 3 bataliony liczące około 1400 żołnierzy masztowały drogą Trzeszczany – Hrubieszów. Przed Hrubieszowem otrzymaliśmy meldunek, że Hrubieszów jest zastawioną pułapką, czekają tam na nas okopane CKM-y i czołgi. Wtedy dowódca naszego Zgrupowania zarządził odwrót i wycofanie się w lasy na. północnym zachodzie powiatu hrubieszowskiego. Czołgi dogoniły nas wieczorem. Śniadanie mieliśmy zgotowane o 8-ej rano przez ludność w Trzeszczanach, gdzie owacyjnie nas przyjmowano. Oddziały pospiesznie się wycofywały. Ja z rozkazu szefa mojej kompanii przesiadłem się na konia naszego dowódcy por. ”Osterwy” czyli Zygmunta Ochmana i na tym koniu jeździłem z patrolem do późnej nocy. Potem konia musiałem oddać i dołączyłem do plutonu „CKM” por. „Zycha” czyli Janusza Grody. Czołgi nie od razu ruszyły za nami. Na przedzie mieliśmy dwa działka przeciwpancerne. Nikt nie zginął”. – Chwała Bogu! Ale nikczemność i zdrada były oczywiste. Nie mieliśmy już złudzeń co do naszych „wyzwolicieli.

W Warszawie wybiła „Godzina W”. Stało się to 1 sierpnia o godz. 17.00, 1944 r. Wojska sowieckie były wtedy na Pradze i stały nad Wisłą patrząc, jak ginie Warszawa. Czekali specjalnie aż się wykrwawi, aż padnie ostatni powstaniec, aż Niemcy zburzą jej domy systemem sznurowym, całymi ciągami zabudowy, ulica po

ulicy, kamienica po kamienicy. Jedno wielkie gruzowisko…



Józef Wit Fabijański, przed wojną w 1939 r.

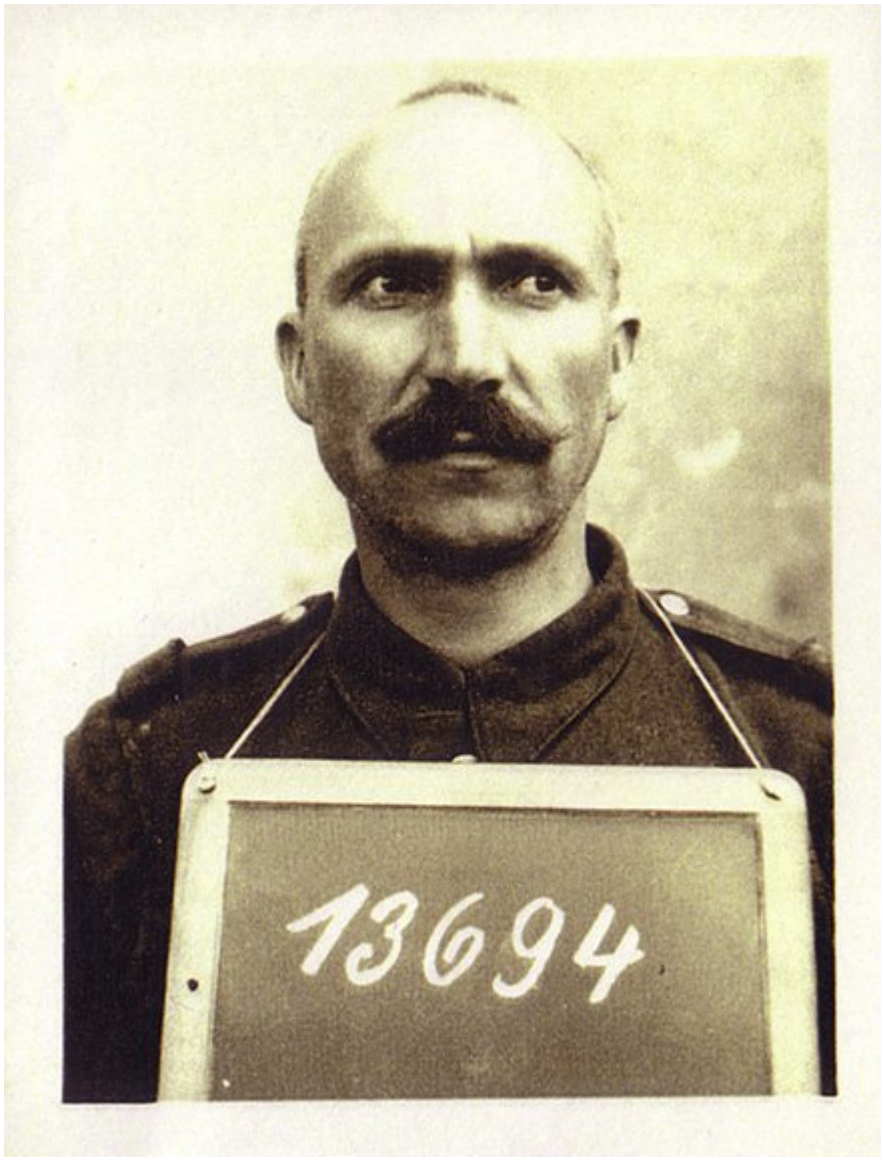

Józef Wit Fabijański w stalagu w Oschatz, listopad 1939 r.

Powstanie Warszawskie trwało 63 dni. Heroizm mieszkańców i walczących Akowców sięgnął zenitu. Wydawało się, że nie ma już żywych wśród tych ruin. Ale, gdy okupanci kazali ludności wyjść z piwnic, lochów, schronów, gruzowisk – okazało się, że cudem jakimś wiele ocalało. Wygnano ich z Warszawy do obozu w Pruszkowie. Ciocia Milusia, mamy siostra, nasza rodzinna mistyczka przez cały czas powstania była w Warszawie. Przetrwała najgorsze i razem z uchodźcami dzieliła smutny los.

Została wywieziona do Austrii, gdzie przebywała w nieznanym nam bliżej klasztorze w dolinie Linzu, już do końca wojny.

Jako absolwentka matematyki na uniwersytecie w Petersburgu, przyjechała do Warszawy w wolnej Polsce i pracowała w banku PKO na Żoliborzu. W dwudziestoleciu międzywojennym stanęła tam zabudowa mieszkaniowa. Ciocia miała własnościowe mieszkanie na rogu ulic Mickiewicza i Zajączka. W czasie działań wojennych najpiękniejszy pokój został uszkodzony pociskiem. Odbudowane zajęli przypadkowi ludzie. Trzeba było pracować ćwierć wieku, by mieszkanie to odzyskać drogą wpłaty czy spłaty za podobny lokal nieproszonym lokatorom. Ciocia czuła się warszawianką i do stolicy wróciła, tyle, że niezadługo zmarła na białaczkę. Podziwialiśmy Jej wiedzę, wiarę w lepszą przyszłość Polski. Uwielbialiśmy Jej opowieści, anegdotki, którymi bawiła nas w czasie okupacji, gdy przyjeżdżała na swoje urlopy do Hrubieszowa, Czumowa, czy, już po wojnie, do Zamościa.

Niemców nie bała się i w ogóle była ogromnie odważna, rodzinna, o głęboko zakorzenionym patriotyzmie nie pozbawionym dużej dawki mistycyzmu. Umiała interpretować wszelkie znane w Polsce przepowiednie i miała niezłomną wiarę w wolną Polskę, na prawdę wolną. W którymś roku wojny pojechała sama do Czumowa na Boże Narodzenie, by, jak sama mówiła „wykurzyć Niemców” za pomocą snopka zboża ustawionego w Wigilię w rogu salonu. Taka ludowa wróżba. I

stało się. Ale w ostatnim roku okupacji kontakt z Ciocią Milusią urwał się. Byliśmy przecież po dwóch stronach Wisły, a to znaczyło w dwóch różnych światach.

***

Przyszedł rok 1945. Upalny czerwiec. Jeszcze nie koniec szkoły podstawowej. Niespodziewanie przyszła depesza z Zamościa o radosnej treści: „Wujcio Pocio wrócił”. Wysłała ją siostrzenica naszego Taty, Jadzia Kosińska. Był dzień 14-ty czerwca. Dokładnie, jak przepowiedział duch. Na drugi dzień nie poszliśmy do szkoły, bo witaliśmy lekko przygarbionego pana z plecakiem na plecach, w wojskowej, amerykańskiej kurtce, wysokich sztylpach, w zielonej, małej czapeczce z małym daszkiem. Sylwetka dokładnie powtórzona z pamiętnego odlewu woskowego, wywróżona w „andrzejkowy” wieczór. Cóż powiedzieć? – Przecież to nie zbieg okoliczności…

Pamiętam dobrze moje pomieszanie, nieśmiałość, wręcz wewnętrzny paraliż. Nie mogłam pojąć, że ten dziwnie wyglądający pan, pochylony i przedwcześnie postarzały to mój ukochany, wyczekiwany, wypłakany Tatuś, zupełnie nie podobny do tego z fotografii przedwojennej, którą mama nam ciągle pokazywała. Po sześciu latach nieobecności nie mogłam przytulić się, ucałować, objąć. Nie byłam już małą dziewczynką, byłam podlotkiem, za dużym, by wziąć na ręce i za małym, by zarzucić

ręce na szyję. Stałam onieśmielona i patrzyłam na to rodzinne powitanie, a w głowie mi szumiało. Czułam, że chwila jest ważna, że dzieje się coś wielkiego, czego nie umiałam okazać. Pamiętam, że po powitaniach wszyscy usiedliśmy i zaczęły się opowieści. Tata mówił nam o swojej niezwykłej podróży przez Europę i Polskę. Jakże musiała ta droga się dłużyć… od 16 kwietnia, gdy opuścili obóz w Oschatz do 7 czerwca – końcowego etapu pociągiem do Zamościa. I wreszcie był ze swoją ukochaną Lolusią i czwórką młodzieży, której na ulicy pewnie by nie rozpoznał po sześciu latach niewidzenia.



Polska kaplica w niemieckim obozie w Oschatz w Saksonii, fot. arch. autorki

Potrzebowałam czasu, by oswoić się z nową dla mnie sytuacją, by

dotarło nareszcie do mojej świadomości, że mam Ojca żywego, który wrócił do nas i będzie się teraz nami opiekował. Szczęśliwy to dzień i szczęśliwe te dzieci, które przeżyły powrót ojca z wojny. Ileż rodzin czekało na darmo! – ileż dzieci dowiedziało się, że ich ojciec wprawdzie żyje, ale do nich nie wróci, bo ma już drugą żonę, drugą rodzinę, drugą ojczyznę.

Dzisiaj dopiero zrozumiałam, jaki to musiał być dramat wewnętrzny, jaka rozterka: wrócić do zniewolonego komunistycznego Kraju, czy pozostać za granicą np. w Anglii i tam czekać zmiany losu Polski. – Czekać na cud lub trzecią wojnę, a może działać z dala na rzecz Polski – Ojczyzny jedynej?

Ojciec mój, nie zważając na złowieszcze prognozy swoich towarzyszy niedoli jenieckiej, na ich żarty, wręcz kpiny i manifestowaną pogardę, że wraca pod reżim, by pomóc Sowietom budować go w Polsce – miał jeden argument, okazało się bardzo trudny do pojęcia, a przecież tak prosty. – Jest już po wojnie – powiedział – wracam do mojej rodziny. Czekają na mnie, liczą, potrzebują mnie. Żona i czworo uczącej się młodzieży. Muszę być z nimi, dla nich pracować, wykształcić moje dzieci, przecież to mój obowiązek społeczny. Mam też w kraju Matkę i siostrę. Muszę się nimi zaopiekować. Nie pojmuję życia inaczej. I wrócił!

Europę przemierzał odcinkami: koleją i pieszo. Wszędzie ruiny,

zbombardowane mosty, zatarasowane drogi, żadnej normalnej komunikacji. Dla piechura pozostały tylko dwie pewne nogi i plecy do dźwigania skarbów w plecaku. A tymi skarbami były listy od nas do Ojca pisane na przestrzeni tych lat, spora i ciężka paczka ok. 600. Był też album z fotografiami obozowymi, numery gazety – miesięcznika stalagowego „Zza drutów”, szkatułka drewniana własnej roboty – prezent dla żony i maszynka do krojenia chleba – cud cywilizacji europejskiej – bez deski, bo ta była już za ciężka. W albumie kryła się jeszcze jedna pamiątka – świętość: obrazek Matki Bożej Częstochowskiej (wielkości pocztówki) z uszkiem z nitki do zawieszenia nad pryczą. Według tego wizerunku młody jeniec – Polak namalował duży, piękny obraz do kaplicy obozowej Polaków. Było uroczyste jego poświęcenie i zachowała się fotografia malarza. Młody, ładny chłopak, jakże utalentowany. Może Częstochowska wzięła go w swą opiekę?



Ten młody żołnierz o nieznanym nazwisku namalował obraz kaplicy obozowej w Oschatz. Wzorem był mały obrazek z Matką Boską Częstochowską należący do mojego ojca Józefa Wita Fabijańskiego, fot. arch. autorki

Tatulku mój, ile wycierpiałeś, ile się natrudziłeś, ile namęczyłeś – Ty wielki patrioto, polski PEOWIAKU (P.O.W.—Polska Organizacja Wojskowa), ułanie belwederski I pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, żołnierzu polski, któryś walczył dzielnie rozbrajając okupantów w Kijowie 1920 roku. Pomagałeś ustanawiać porządek i polską, władzę na Wołyniu za co

odznaczono Cię Złotym Krzyżem Walecznych. Ty, mężny, kochający Ojczyznę i nas tak bardzo, że wybrałeś trudniejszą niepewność niż angielski dobrobyt. Spieszno Ci było do Twojej kochanej Lolusi i czcigodnej Mateńki oraz naszej czwórki. Dzień po dniu pokonywałeś drogę do Polski w upale i w deszczu, po gruzach i zgliszczach, głodny i wyczerpany – ale jakże wytrwały! Umiałeś być dzielnym. Piłsudskiemu też niosłeś zamojską ziemię w urnie na kopiec do Krakowa. Szedłeś pieszo codziennie przemierzając drogę od dworu do dworu lub od plebani do plebani, by na czas dojść do stolicy Piastów i Jagiellonów. Przechowuję, jak relikwię świętą, Twoją książeczkę z tej wędrówki, w której czerwone i fioletowe pieczęcie poświadczają ślad Twoich stóp.

***

Droga wojskowa Józefa Wita Fabijańskiego

Urodzony 15 czerwca 1899 r. w Miękowiźnie powiat Garwolin z matki Władysławy z Taczanowskich i Aleksandra Fabijańskich. Po nagłej śmierci ojca w 1908 r. wyjechał z rodziną do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie uczęszczał do gimnazjum. W końcu 1917 r. wstąpił do P.O.W., a w dn. 5 kwietnia 1918 r. złożył przysięgę. Początkowo należał do sekcji oświatowej i z aparatem projekcyjnym objeżdżał polskie kolonie. Dnia 7 czerwca 1919 r. wstąpił jako ochotnik do 1 Pułku Szwoleżerów 5

szwadronu detaszowanego por. Brochwicz-Lewińskiego. Później był w sztabie 1 Dywizji Legionów w oddziale operacyjno-informacyjnym jako szef kancelarii. Po zakończonej wojnie 1920 r., w której brał udział w Kijowie i na Wołyniu został odznaczony Krzyżem Wołynia – Waleczności i Niepodległości. Dnia 27 czerwca 1921 r. na prośbę matki został zwolniony z wojska. Podjął dalszą naukę w Warszawie specjalizując się w kierunku buchalteryjno-handlowym na prywatnych kursach. Widocznie finansiści byli poszukiwani, bo ojciec otrzymał kilka propozycji, ale nie w Warszawie, gdzie miał ochotę pozostać i jeszcze się kształcić. Przyjął stanowisko dyrektora prywatnej fabryki St. Kowerskiego w Zamościu. Potem były lata kryzysu i propozycja organizowania i kierowania Bankiem Spółdzielczym Rolników w Hrubieszowie. To trwało do wybuchu wojny.

Jako rezerwista ojciec został powołany dopiero 9 września na zgrupowanie do Tomaszowa Lubelskiego. Pojmany przez wojska sowieckie w nocy z 17 na 18 września na terenie Wołynia, w okolicach Równego przebywał w niewoli sowieckiej na terenie Rosji (wożony w bydlęcych wagonach na mokrych liściach przez 7 tygodni). Drogą wymiany jeńców pomiędzy ZSRR a Niemcami, dostał się do międzynarodowego obozu na terenie Saksonii w miejscowości Oschatz, położonej między Dreznem a Lipskiem i tam w różnych Stalagach przebywał do kwietnia 1945 r.

Po powrocie do Polski, do Zamościa, pracował najpierw w PKO,

później w prywatnej fabryce wódek Ostera, a po jej likwidacji w Zakładach Sieci Elektrycznej w Zamościu, zawsze na stanowisku związanym z finansami, księgowością, dawniej nazywało się to buchalterią. Zmarł w Zamościu, będąc już na emeryturze dn. 6 września 1972 r.

***



Eigentums-Bescheinigung

über 1 paar Halbschuhe 3 Hemden 2 Unterhosen, 1 Schlafhose, 1 Schlafjacke, 3 paar Socken, 1 Pullover

aus einer Paketsendung an den Kriegsgefangenen:

Nr.: 13694 Name: Fabijanski, Josef

Vorgenannter Gegenstand ist Eigentum des Kriegsgefangenen.

Oschatz, den 5. Jan. 1944.

Kdtr. Stalag IV G
Postüberwachung

Paketprüfer
Bergell Obsch.


Luckenwalde
Treuenbrietzen
Jüterbog
Coswig
Wittenberg
Dessau
Torgau
Delitzsch
Eilenburg
LEIPZIG
Wurzen
Oschatz
Riesa
Grossenhain
Kamenz
Bautzen
Görlitz
Lauchhammer
Senftenberg
Hoyerswerda
Weisswasser
Einsterwalde
Kirchhain
Doberlug
Spremberg
Gr. Räschen
Cottbus
Guben
Forst
Lubsko
Zasieki
Finsterwalde
Bad Liebenwerda
Elsterwerda
Ruhland
Lauta
Kamenz
Bischofswerda
Radeberg
DRESDEN
(DRESDEN)
Pirna
Freital
Heidenau
Sebnitz
Neugersdorf
Zittau
Varnsdorf
Löbau
Ostritz
Rumburk
Děčín
Ústí n. L.
Teplice
Most
Litoměřice
Roudnice
Mělník
Mladá Boleslav
Lovosice
Louny
Žatec
Slaný
Kralupy
Brandýs
Stará Boleslav
PRAHA
(PRAGA)
Rakovník
Kladno
Karlovy Vary
Sokolov
Cheb
Aš
Klingenthal
Markneukirchen
Adorf
Falkenstein
Auerbach
Treuen
Plauen
Reichenbach
Oelsnitz
Zwickau
Werdau
Crimmitschau
Meerane
Glauchau
Lichtenstein
Hohenstein-Ernstthal
Limbach-Oberfrohna
Burgstädt
Penig
Mittweida
Hainichen
Frankenberg
Freiberg
Brand-Erbisdorf
Altenburg
Borna
Geithain
Rochlitz
Waldheim
Grimma
Colditz
Oschatz
Riesa
Meissen
Radebeul
Radeburg
Pirna
Bad Schandau
Varnsdorf
Česká Lípa
Jablonné v Podještědí
Nový Bor

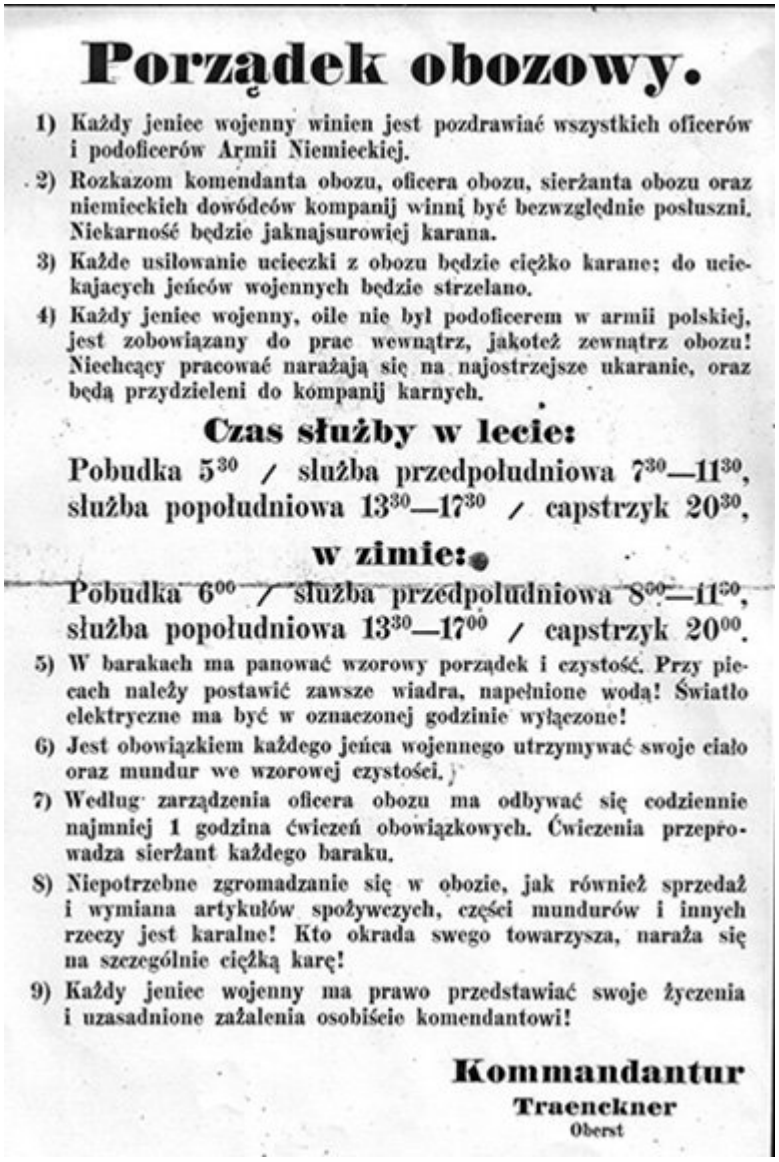

Porządek obozowy.

1) Każdy jeniec wojenny winien jest pozdrawiać wszystkich oficerów i podoficerów Armii Niemieckiej.
2) Rozkazom komendanta obozu, oficera obozu, sierżanta obozu oraz niemieckich dowódców kompanij winni być bezwzględnie posłuszni. Niekarność będzie jaknajsurowiej karana.
3) Każde usiłowanie ucieczki z obozu będzie ciężko karane; do uciekających jeńców wojennych będzie strzelano.
4) Każdy jeniec wojenny, oile nie był podoficerem w armii polskiej, jest zobowiązany do prac wewnątrz, jakoteż zewnątrz obozu! Niechcący pracować narażają się na najostrzejsze ukaranie, oraz będą przydzieleni do kompanij karnych.

Czas służby w lecie:

Pobudka 5^{30} / służba przedpołudniowa 7^{30}—11^{30}, służba popołudniowa 13^{30}—17^{30} / capstrzyk 20^{30},

w zimie:

Pobudka 6^{00} / służba przedpołudniowa 8^{00}—11^{30}, służba popołudniowa 13^{30}—17^{00} / capstrzyk 20^{00}.

5) W barakach ma panować wzorowy porządek i czystość. Przy piecach należy postawić zawsze wiadra, napełnione wodą! Światło elektryczne ma być w oznaczonej godzinie wyłączone!
6) Jest obowiązkiem każdego jeńca wojennego utrzymywać swoje ciało oraz mundur we wzorowej czystości.
7) Według zarządzenia oficera obozu ma odbywać się codziennie najmniej 1 godzina ćwiczeń obowiązkowych. Ćwiczenia przeprowadza sierżant każdego baraku.
8) Niepotrzebne zgromadzanie się w obozie, jak również sprzedaż i wymiana artykułów spożywczych, części mundurów i innych rzeczy jest karalne! Kto okrada swego towarzysza, naraża się na szczególnie ciężką karę!
9) Każdy jeniec wojenny ma prawo przedstawiać swoje życzenia i uzasadnione zażalenia osobiście komendantowi!

Kommandantur
Traenckner
Oberst

Powrotna droga z obozu w Oschatz do Zamościa

Na zachowanej kartce wielkości zeszytu, złożonej we czworo tak, by mieściła się w kieszeni munduru, Ojciec mój, Józef Wit Fabijański spisywał dzień po dniu przebyty etap, zaznaczając jednocześnie czy szli pieszo, czy jechali. Z pogrzebu Francuza, którego musieli po drodze pochować wynika, że opuścili obóz nie tylko Polacy. Jak było ich dużo? – trudno wiedzieć. Dlaczego krążyli wokół Oschatz zmieniajęc kierunek raz na wschód, raz na

zachód w gruncie rzeczy nie przybliżając się do Kraju. Cóż to była za strategia? – Rozumiem, że mogły być przeszkody natury komunikacyjnej, dróg, mostów, transportu – wszak trwały jeszcze działania wojenne. Koniec wojny nie był ogłoszony. – Może więc historykom II wojny św., badaczom wojskowości taki fakt udokumentowany zapisem jednego z jeńców, będzie przydatny, może coś wyjaśni? – Na załączonej mapie zakreślone miejscowości wykazują jakiś bezsens tej wędrówki, przedłużania udręki i niepewności. Karmienie żołnierzy złudzeniem, że wracają do ojczyzny…

Przytaczam dosłownie ten kuriozalny dziennik podając jedynie nazwy miejscowości w ich brzmieniu z mapy wydanej w Polsce w 1959 r.

POWRÓT

16.IV godz. 11-ta wyjazd z Oschatzu przez Strehlę do lasu Jakobsthal pod obóz w Zeithain (po drugiej stronie Łaby).

21.IV.godz. 21-sza wyjazd z lasu brzegiem Łaby (Elby) przez Riesę do wsi Zekwitz w niedzielę, godz. 4-ta po obiedzie.

23.IV rano godz. 8-ma wymarsz pod Oschatz do Weisdorfu.

25.IV.godz.16.30 wymarsz do linii frontowej amerykańskiej pod

Wurzen i skierowanie na Grimmę

26.IV. godz. 9-10-ta przeprawa przez Muldę. Oblanie wolności butelką wina; godz.13-ta przybycie do koszar.

29.IV. Msza św. polowa na placu.

17.V. odjazd z Grimmy za Muldę godz. 10-ta i marsz do Dübrieczen (?).

18.V. marsz przez Wernsdorf do Torgau – tam nocleg.

19.V. Triestewitz (Zielone Świątki) – przerwa na pogrzeb Francuza.

21.V. dalszy marsz do Falkenbergu.

22.V. marsz dalszy na Kirchhaln-Doberlung z postojem nocnym.

23.V. marsz Einsterwaldei nocleg w Biltten.

25.V. wymarsz w kierunku Cottbus (Chocieboża) i nocleg.

26.V. godz. 18-ta przybycie na stację i załadowanie do pociągu, odjazd nocą.

27.V. przybycie do Sorau o godz. 17-tej. Dłuższy postój i wyjazd w nocy z 29 na 30 maja do Głogowa w godz. południowych

1.VI. wyjazd godz. 18-ta przez Rawicz do Oleśnicy. Postój przez noc i wyjazd do Lublińca.

3.VI nocleg i wyjazd do Częstochowy.

4.VI Częstochowa, godz. 10-ta.

5.VI godz. 19-ta wyjazd do Kielc, nocleg.

6.VI. godz. 5-ta wyjazd do Skierniewic i dalej do Rozwadowa.

6.VI/7.VI nocleg na dworcu.

7.VI godz. 5-ta wyjazd do Lublina, przesiadka na pociąg do Zamościa

7.VI godz. 18-ta przybycie do Zamościa – (koniec DROGI PRZEZ MĘKĘ, przyp. T.F.Ż.)

Powrót do Mateńki i Januszki z Jadzią.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

> Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.

Zobacz też:

> Historia w karetach zaklęta